



PSZONKA.

PRZEMIANY PANA JANA SZAMBELANICA.

Kto niezna pana Jana szambelanica, a przynajmniej, kto o nim niesłyszał w kraju i na tulaćwie? Kto niezna dziejów jego poświęceń, jego męczeństw, jego apostołstwa? Już widzę jak zdziwione otwieracie oczy, zapytując: — Co za pan Jan? Co za szambelanice? Nieznamy takiej sławy żadnego pana Jana, a jeszcze szambelanica!

—Znacie go, znacie, ja wam powiadam, znacie jak zły szeląg. Kilka słów jeszcze, a ręczę że go poznacie. Słuchajcie!

Każdy wiek, każde wielkie wstrząśnienie w narodzie wydaje wielkiego człowieka. Pan Jan jak skała w czasie trzęsienia ziemi wyskoczył z rewolucyjnego morza. Z rewolucyjnego powiadam, bo przedtém niebył się jeszcze wyklął ze swojej skorupki. Znał go wówczas tylebys miał o nim do powiedzenia, ile o białku i żółtku, z którego przecież może wyskoczyć z ślicznymi piórami czubaty kogut. Jakoż zarodek pana Jana tak był niefortunny, że czegokolwiek się dotknął, jakiegokolwiek zaprobował stanu, wszędzie mu szło jak z kamienia. Wychowany przez ojca, najczystsze Babińczyka, a niegdyś szambelana JKM. Stanisława Augusta, jako jedynak, miał sobie surowo wzbronione wszelkie mordowanie umysłu; za to sam jegomość przelewał ustnie w niego swoje zasady, mówiąc: —Dajcie pokój memu Jasiowi, niezależy on gruski w popiele; mnie wróżka powiedziała, że Jaś sławę domu naszego do gwiazd podniesie. Pamiętaj chłopce, że jeśli niebędziesz prymasem, musisz być hetmanem, jeśli nie hetmanem, to przynajmniej kanclerzem. To też pan Jan dobrze to sobie na węs namotał, a już miał wasy, choć jeszcze niegładko czytał w Niesieckim długie legendy o swoim herbie z osłą głową na tarczy; i kiedy ze zgonem kochanego rodzica ujrzał się na bruku, bo trzeba wiedzieć że jegomość wszystko przehandlował na węgryzna, przyszła mu myśl arey szczęśliwa udać się pod protekcję herbownych i skoliganych. Jak mu się tam wodziło? niewiem; to pewna tylko, iż znowu musiał rozmyślać nad swoim losem, kiedy z pustą kieszenią, w jednej kapotce wchodził do stolicy. Przypomniał sobie słowa wyroczni: będziesz prymasem! wszedł do konwentu, i przywdział kaptur. Minęły te czasy, kiedy u ojców Bernardynów dobre bywały miody; teraz, i miody niedawano, i kazano ślezyć nad brewijarzem, i klepać pacierze i we dnie i w nocy. Pan Jan zbrzydził prędko stan duchowny. Niebude prymasem, ale moge być hetmanem. To pomyslawszy zrzucił rewerendę. Ale gdzie być hetmanem?... W wojsku polskiem i ciężka i gorzka służba; szlachciec z dzia-

da z pradziada, hrabia, książę nawet, jak chłop prosty od żołnierza, z karabinem na plecach dosługuwać się oficersstwa musi. A ile lat jeszcze?... Z resztą, potworzyli jakieś szkoły, jakieś examina, to zakrawa na naukę. Wojsko moskiewskie stanęło mu w myśli, tam herbowny w kilka miesięcy może zostać oficerem. Ale jak tu Polakowi służyć w wojsku moskiewskiem?... Ej, nie pierwszym i nie ostatni, rzekł sobie i przywdział mundur moskiewski. Wtém, nieszczęście ścigające zawsze pana szambelanica napędziło mu jakiejś biedy, i dostał się do lazaretu, w którym doczekał się owęj pamiętnej nocy 29 listopada.

Teraz sek! co tu począć?... Iść za wojskiem moskiewskiem niewypada, i poco wreszcie? Rewolucya właśnie otwiera karyerę. Ale gdzie? Na polu bitwy! Dziękuję! W pierwszej potyczce zginąć można. W rządzie?... Tam już pięciu! Niema miejsca. Ha! w gwardyi narodowej! I stało się. Prostoduszne Warszawiaki obrały pana Jana podporucznikiem. Zmarł się, bo był pewny szlif bulijonowych, ale wytłumaczył sobie, że lepiej być na bruku warszawskim podporucznikiem niżli w polu jenerałem, a tymczasem może będzie sposobność dochrapać się czegoś lepszego. Czepiał się więc wszystkich gubernatorów, znosił im nowinki to z dziurki, to z Honoratki, to z klubu, to z bruku, niewątpiąc, że te zasługi muszą go posunąć wyżej koniecznie. Nieprawda! zmiany częste gubernatorów niedozwoliły panu Janowi rozgościć się w ich sercach. W tём zaczęto formować pospolite-ruszenie. Ha! teraz pora! Co zdutniejsze z młodych i starszych, poszło dawno do boju, w pospolitem więc ruszeniu dorobić się czegoś potrafię. A gdyby na prawdę przyszło kiedy do boju? Fraszka! Pan Jan zanadto długo wycierał się przy pierwszych matedorach rządu rewolucyjnego, żeby mógł sądzić, że chłopom bić się pozwolą! I poszedł. Niestety! Jeszcze pospolite-ruszenie ruszać się niepoczęło, już powstanie upadło. Teraz pan Jan znalazł się w prawdziwie krytycznem położeniu. Zostać w Warszawie niepodobna! *Perekińczyk* był pewnym nieochybnęj kary. Więc niedługo się namysławiając wyszedł z wojskiem narodowem na Pragę. Odtąd pan Jan aż do wejścia w granice pruskie podzielał wszystkie losy powstania, sam nawet własną ręką kilku Żydków w drodze obwieścił; to też przechodząc granicę zawolał w dumie czystego sumienia: — Oby tak każdy dopełnił powinności swojej dla ciebie droga ojczyzno!... Umiał też rząd ocenić tyle męstwa w podporuczniku gwardyi narodowej, i zaledwie pan Jan stanął na ziemi pruskiej, już krzyż *virtuti militari* zabłysnął na jego bohaterskiej piersi.

Najtrudniejsze początki, mówi stare przysłowie; teraz prze-to pan Jan nienamyslał się długo co począć. Legijony pol-

skie we Francji uśmiechnęły się do niego czarującym wdziękiem. Tam spieszyć i dniem i nocą, żeby inni uieubiegli miejsca, postanowił niezmiennie.

W przejeździe przez Niemcy, owe tryumfy, illuminacje, bale, kantaty, fajerwerki, prezenta, całe to wyłanie się serdecznego narodu przyjmował pan Jan poważnie i z godnością, bo wiedział dobrze, co się jego zasłudze i mężstwu należy.

Stał wreszcie na ziemi francuskiej. Nowe tryumfy, nowe honory. Rósł pan Jan jak placek na drożdżach, ale niedługo osiadł jak zakalec, bo nad wszelkie pana Jana spodziewanie nie tylko legijonów nieformowano, ale nawet wyraźnie oświadczono, że teraz, gdy porządek panuje w Warszawie gadać o legijonach niewolno.

Kiedy tak zawiedziony w widokach zewnętrznych męczył się pan Jan w sobie, poczuł w organizacji swojej wewnętrznej szczególną odmianę. Zdało się, że powietrze, którem oddychał, jest przepelnione atomami axymatów filozoficzno-politycznych, bo nie nieczytając, pan Jan niemógł nigdy pokonać wstępu do czytania, przesiekał wszystkiemi, czém chciałeś, i niedługo potrzebował mu tłumaczyć, bo wstrząsając głową z uśmiechem zrozumienia mówił: Już ja o tém dawno wiedziałem.

Tyle mądrości niemogło odłogiem zalegać pola. Owoż gdy pewnej nocy dręczony bezsennością przewracał się Pan Jan na łożu spoczynku jak wąż w popiele, stanęły mu w myśli spiski, konspiracje, tajemne towarzystwa. Pan Jan nie miał zwyczaju długo rozważać, i od razu poczuł, że odtąd warsztatem jego działań być powinien świat; konspiracje długie a wąskie od zachodu na wschód; propaganda na migi od północy do południa. Ogromne stosunki, ogromne systemata, olbrzymie prace. Dziś być w łożu wolno-mularskiej, jutro w porębie węglarskim, pojutrze na posiedzeniu obrońców praw człowieczeńskich. Godziny, dnie, wieki niewystarczały na tyle działań, a wszystko dla całego rodu ludzkiego! A znowu dla Polski, w swoim zakładzie, trzeba było urabiać umysły wiarusów do pojęć polityczno-filozoficznych, do wzniosłych kombinacji, tworzyć stronnictwa krzykliwe, silne, co by nie tylko mówią ale i czynem umiały poprzeć rozumowanie. Takie to teraz przyjął pan Jan obowiązki na siebie; a z jaką je żarliwością wypełniał, ile przeżył trudów, niebezpieczeństw, ile razy o mało życia niepostradał? Ach! ktoż polichczy wszystkie sprawy tego atlety? Dziwnem jednak zrzadzeniem losów grono jego stronników codziennie widocznie szuflało; bo chociaż ciągle im powtarzał: — Niebierzcie się do niego! wy ludzie polityczni! niech się ci ucza, co sąsłami! jak słońce świeci samo z siebie, tak i człowiek świecić powinien! Jednakże z czasem, to nędza, to jakieś tajemne rozumowanie pociągnęło jednych do warsztatów, drugich do szkół, innych do innej pracy, a mistrz sam został.

Ujrawszy się opuszczonym, zaczął rozpaczać, że niema duszy, któraby go rozumiała; złąd przyszła mu reflexya, że to wszystko, co tam mówią, piszą, drukują, są nędzne, do niczego nieprowadzące półśrodki. Więc przeklął wszystkie masonerye, karbonarye, zamknął się, pił dużo wina, émił wiele fajki, dostał melancholii. Bóg wie co by się z nim było stało, gdyby nie ów sławny obchód rocznicy 29 listopada, na którym spotkał się z dwoma wielkimi ludźmi: jednym, niegdyś swoim kolegą oficerem artylerii gwardii narodowej, i z drugim, jakimś Koklesem. Oni go dopiero objaśnili, że arystokraci właśnie poznawszy się na jego talentach kładli tamę wszystkim jego dotychczasowym zabiegom, z obawy, żeby im biskupstw i hetmaństw niepodszedł. Od razu otworzyły się oczy panu Janowi, postrzegł jak na stole cały szereg intryg, które pod nim arystokracja kopała. Usunąć przeszkody, wywieścić, wysztyletować, było jedną chwilą postanowieniem. Kupił więc stryzyk i sztylet, i rzekł sobie: Będę demokratą! Demokratą na zabój! i został. Ale niewiele potrzeba było czasu, żeby przeciwność, ślad w ślad za panem Janem idącą, go nieugodziła ciosem. Demokrat za jakieś tam, jak mówiono, niebardzo czyste stosunki wyrzucili go z grona swego. Opuszczony i wzgardzony od wszystkich na tularctwie, zwrócił pan Jan swoją uwagę na kraj rodzinny, na Polskę, i po krótkim namyśle wniósł, że trzeba apostołować przykładem, że czyn iść przed myślą powinien. Ucieszony tém odkryciem wołał z dumą: — Niepoznały się na

mnie towarzystwa, niepoznały komitety, niepoznała Francya, co się ma za mądra, opuścili mię ci, których podniosłem do siebie! Niewdzięczni! czekajcie! i ja zapomnę o was na dniu sądnym, kiedy was przed lud powołam. Tak, przed lud was powołam, bo przez lud będę prymasem, hetmanem, kanclerzem, czém zechcę. Rozradujcie się cieniem mojego ojca!

To rzekłszy spakował manatki, wziął kij i puścił się rzeziennym dyszlem na wschód. Idąc długo a długo, zaszedł do pewnego dworu bogatego szlachcica, gdzie przyjęty po staropolsku, po dobrym obiedzie i kilku kieliszkach węgryna, zapytany po co przychodzi, z miną urzędowej ważności powstał i rzekł: — Przychodzę lud przeciw panom poburzyć! — Toś waszność źle trafił, odeprze szlachcic, bo tu dwór, a ja dziedzic. Ale pan Jan puszczając to mimo uszu wpada w zapał, i dobywając sztyletu: — Giń z twoim rodem tyranie! my chłopi twoim się podzielimy majątkiem. Wszystko od wszystkich, przez wszystkich, dla wszystkich! Niech żyje Gonta, Niech żyje Żeleznik! Wiwat rzez humaniska!.. Kobiety narobiły hałasu, dzieci płaczu, szlachcic osłupiał, lecz ochłonawszy po chwili, widząc że nieprzyjacieli nieliczny, zawołał do dworskich: — Przerzućcie go za dziesiątą granicę, i dajcie mu pamiętne na drogę. Zaprawdę, żaden to apostoł, który żelazem do przekonania chce trafiać.

Jest coś jeszcze niedoskonałego w tej teorii, pomyślał pan Jan przychodząc po jakimś czasie do siebie, albo zepsucie świata doszło do ostateczności; i wzbogacony doświadczeniem wrócił do Francji szukać kamienia filozoficznego.

Uważając się za mikrokosmos, był przekonany, że skoro się w nim jaka rewolucja odbędzie, tém samém i w społeczności odbyć się może; to też zamknął się, ciągle myślał, rewoltował wewnętrznie, wiązał systemat, budował społeczność, zarzucał nawet wino i wódkę, niepałił fajki. Ale darmo! jak to mówią: z pustej stodoły wyleci tylko wróbel albo sowa. Szczerściem gruchnęła naówczas boskim swoim manifestem gromada *Grudziąż*. Pan Jan nieczytał, ale od razu rzecz zrozumiał, a zawoławszy: — Uprzedzili mię tylko! Jeszcze półgodziny a byłbym wpadł na to samo! Dobrze! mówił tonem triumfujałym, Wam chwała konceptu, a mnie przeprowadzenia go w życie! Znowu więc spakował manatki, i znowu powędrował na wschód, jak kometa zwiastujący koniec starego a początek nowego świata.

Tą razą, pan Jan już niebrał sztyletu, lecz niemniej mordował okropnemi wyrazami emancypacji, regeneracji, filantropii, filansterów, falangów, rewolucji, i szumnym wykładem o wspólności majątkowej, a najbardziej o wspólności płci pięknej. Nauka ta, tak czysta, tak niewinna póki kończyła się na słowach, na teorii, znalazła wiele zwolenników i zwolennic, ale sprawiła najokropniejsze zamieszanie, odkąd pan Jan chciał ją praktycznie, eksperymentalnie dowodzić. Gdy bowiem u jakiegoś szlachcica, już doprawdy napompowanego nieco wiatrem wspólności, niedość że się rządził jak szara gęś w domu, pokusił się o zakazany owoc, szlachcic widząc co się święci, zapomniał i o braterstwie, i o obowiązkach społecznych, i o wszelkiej spółce, tak, że z wielką obrazą opowiadanej nauki, najokropniej apostoła przez kij przesadził.

Nielepięć się i gdzieindziej powiodło panu Janowi, choć na końcu porzucił wygodne dwory, i z chłopami zadawać się począł, gdyż ci niemogąc zrozumieć górnego propagandy języka, a przytém poznawszy się na farbowanych lisach zawołali: — Ej! to jakiś włoka, pewnie go Moskal wysłał, żeby nas w biedę wprowadził, i dali mu także odpawę.

Tyle niepowodzeń niezlamało jednak w panu Janie ducha apostołskiego. Narzekając tylko na świat bardzo jeszcze nieprzygotowany do tak wzniosłych pojęć, odbywał potem misję pojednawczą. — Wy! coście niezdatni do propagandy, mówił, śleście nad książkami, dysputy, piszcie, drukujcie... Mnie zostało ziarno jedności i zgody zasieć między rzesze. I znowu poszedł jednoczyć kozłów z baranami, złych z dobrymi, głupich z rozumnymi, zdrajców z patriotami, łakomych z hojnymi, samolubów z ludźmi poświęcenia. Nie wiem jak się mu tam wodziło, to tylko pewna, że jak przyszedł tak wrócił. Niezdesperował wszakże, niewyszło bowiem kilka tygodni, kiedy zasłyszawszy: — Krzyż nas zbawi i modlitwa! — Prawda! Prawda! zawołał. Jam, co tyle przeszedł kolei, com tak gorąco poświęcał się dla Polski, com

jęk tak szczytne poddawał nauki, cożem wskórał, com zrobił? Nie ludzka to moc pokonać boskie wyroki! Tajemne sądy boże! W bogu złóżmy nasze nadzieje, módlmy się, pokutujmy! Jak bóg zechce, będzie Polska, Jak bóg nie zechce, próżne nasze zabiegi i starania! I stało się! wszedł do klasztoru, bił się w piersi, klęczał na grochu, pościł nawet czasami. Zbłąkanemu trudno tylko trafić na drogę, ale raz na nią wpadłszy, łatwo pozna bywalec w której stronie przybytek. To też pan Jan niedługo popasał w klasztorze, bo widząc, że tam o nim niemyśla i jeszcze popychają jak miodłę, przeklął kotolicyzm, i papieża, i zbawienie duszy, i zbawienie Polski, a wracając na łono herbownej, koronowanej rzezypospolitej babińskiej; zawołał:—Że też to człowiek tak późno przychodzi do rozumu, i jeszcze go tak ciężkiemi okupuje doświadczeniem. Szlachciec z dziada z pradziada, chciałem przez głupich chamów, przez zarozumiałych filozofów dosięgnąć przepowiedzianej mi wielkości. Ucieszcie się szambelańskie cienie ojca mego. Oto syn marnotrawny wracam do rodzicielskiego domu. Wszystko przez panów, od panów, dla panów! będzie odtąd godłem życia mego.

LIST PRZYJACIELSKI DO JENERAŁA

Skrzyneckiego.

Jeden z przyjaciół jenerała Skrzyneckiego i wydawców Młodej-Polski napisał list do Skrzyneckiego z powodu jego wejścia do służby belgijskiej, i wydrukował go w Młodej-Polsce. Umieszczamy list ten prawie dosłownie, jako arcyważny, i arcyciekawy dokument.

«Jenerale! Dziwne jest przeznaczenie twoje. Ledwie kościół popadnie gdzieś prześladowaniu, zaraz bóg podaje ci oręż do ręki. Taki człowiek jest więcej niż królem. Trudno, abyś nie dał przystępu do serca uczuciom dumy, ale wspomniawszy na powinności, które przyjmujesz na twoje barki, na odpowiedzialność, co spada na ciebie, zapewne cię przestraszą ogarnia, i trzeba ci się głęboko upokorzyć bogu, bo przyjdzie dzień, w którym pan ci powie: Złożyłem w twoje ręce wiarę, nadzieję i przyszłość narodu, coś z nim zrobił? coś zrobił ze krwi jego dzieci, z zapалу jego żołnierzy, z oręża, którym dłoń twoją uzbroidłem?... Jenerale już raz zawiodłeś nasze usiłowania i męstwo, i w naturalnym porządku rzeczy rozpacz i boleść wzburzyła nasze serca przeciw tobie. Bo też istotnie popełniłeś dużo błędów, bo też istotnie mogłeś przemodź nieprzyjaciela, gdybyś był chciał przemodź samego siebie, gdybyś się był oparł złemu popędowi twojej natury. Winieś, bardzo winieś, a tym bardziej przeto winieś, że się uznać za winnego zdradgasz, że chcesz zrzucić twoje grzechy na drugich. Jest zaprawdę niemało takich, którzy razem z tobą grzeszyli, lecz że bóg i naród może najwięcej żądać od przywódcy, że ty najwięcej miałeś sił do rozrządzenia, ty więc jesteś najwinniejszy.

Chcę dziś jenerale! szukać w twym charakterze pierwiastku błędów, które wywarły wpływ zgubny na naszą historię, i nasz sprowadziły upadek. Nie myślę cię przez to obrażać; nikt ode mnie więcej cię niekocho, ale należysz do historii, każdy więc ma prawo roztrząsać twoje życie i sądzić twoje czyny.

Znaleźli się ludzie, co się wazyli powątpiewać o twojej bezinteresowności. Ci ludzie nieznali cię zapewne, niewidzieli nigdy na twoich ustach tego uśmiechu czystości, w którym maluje się tak cudownie twoje sumienie, jasne jak woda zdrojowa. I potem, dla Polaka, to nie jest nawet zasługą nie lubić pieniędzy. Polakowi raczej możnaby naganąć bezinteresowność i nierozumienie wartości pieniędzy. Drudzy cię posądzali o butne zamysły, mówili, że w snach twój ambicji widziałeś nieraz koronę na twojej głowie. Chciałbym wierzyć w słuszność tego zarzutu, w mój przekonaniu jest to wielką pochwałą. Przecież oręż bohatera wart przynajmniej tyle co berło. Bodajbys był miał więcej jeszcze ambicji! bodajbys obraz Napoleona częściej jeszcze stawał ci na myśli!

Ale nieszczęściem dla nas i dla ciebie niepożądałeś nigdy na prawdę korony Bolesławów i Batorych; nieśmiałeś nawet sięgnąć okiem po buławę Zamojskich i Chodkiewiczów. Ja ci nawet wyrzucam, żeś ty zapomniął, że człowiekowi, którego bóg na czele narodu postawił, wolno się o wszystko pokusić, że dla jego ambicji zawód bez granic stoi otworem.

Z szczególniej laski opatrności nieidziesz jenerale! z tych wysokich i potężnych rodów, których zepsucie w ostatnich wiekach sprowadziło upadek kraju. Niebyłeś wykołyszany w tych spaniałych salonach, których zbytek tak krzycząco odbija przy nędzy chłopa. Podobano się bogu postawić cię bliżej ludu. Na nieszczęście niepojąłeś korzyści podobnego położenia, i ledwoś stanął przy władzy, otoczyłeś się natychmiast tém, co przez żartobliwe omówienie świat nazywa wyborem narodu. Zapomniałeś, że do twardej roboty rewolucyjnej najlepsze jest ramię ludu, że lud powinien być mieć swoich reprezentantów przy tobie. Trzeba było w dniu walki wybrać np. najwaleczniejszego z tych krakusów, coto gryzł ładunki, jak gdyby chleb powszedni, zrobić go swym adjutantem, i powiedzieć mu, że tępiąc szablę na piersiach nieprzyjaciół, można ją w hetmańską buławę wyrobić. Lud byłby zrozumiał te słowa. Ale ty pomiędzy sobą i ludem rozstawiłeś szwadrony adjutantów, jeden nad drugiego czyściejsza krew szlachecka. To był twój dwór. Zdało ci się że urosłeś, patrząc jak te świetne nazwiska czepiały się twego skromnego imienia. Zręczni, ułożeni wcześniej do intrygi, znający doskonale taktikę pochlebstwa, krążyli oni koło ciebie, aby upatrzyszy słabą stronę twojego charakteru, modz się wedrzeć do twojej duszy, i rządzić twém postanowieniem. Takto odrzucając na stronę oręż uświetniony zwycięstwem, wzięłeś się do pióra, i popędziłeś w nieznane ci pola dyplomacyi. Aby być dobrym dyplomata, trzeba się ci było urodzić przynajmniej baronem, kupować tuzinami sumienia, zmyślać choćby raz na godzinę, mieć serce na 30 stopni niżej zera, umieć znieść obelgę tak właśnie jak się przyjmuje grzeczność, i giąć się pod wiatrem okoliczności, jak trzcina pod podmuchem zawiei. Osadź, czy spotkania dyplomatyczne były dla ciebie. Dziwnie pomyliłeś się o samym sobie. Twojém piórem powinna była być szabla, a buletyny zwycięstw powinny były zająć miejsce protokółów. Dyplomacya zgubiła Polskę w ostatnim wieku, zgubiła ją także w 1831 r. I ilekroć pójdziem o lepszą z innemi narodami w walce dyplomatycznej, tylekroć będziemy ofiarą, bo w rzeczy chytrości i finesów, mamy nie przymioty ale same pretensy. Nasza dyplomacya wystarcza zaledwie na codzienne wypadki, których teatrem salony, a rezultatem podbicie wyższego stopnia w łasce kogoś, co może być użytecznem. Przypnij jenerale, że masz umysł, któremu brak pewności, i masz wolę z przyrodozienia chwiejącą. Potrzeba ci wiary w siłę narodu, a masz manię rozumowania i wątpienia. Zapomniałeś i na polu bitwy i wszędzie, że dyskusya, że umiejętność, same, bez wiary w siłę, prowadzą najczęściej do wahania się, do niedecyzji. Bodajżeś niepuszczał nigdy z oka, że gdybyś był mniej rozprawiał a więcej działał, niebyłbyś nas zgubił. Bodajżeś zawsze miał się na straży przeciw temu nałogowi twojego umysłu do próżnych poszukiwań i błądzeń po długich zakrętach wątpienia. Bodajżeś mógł zostać człowiekiem niepodległym względem możnych. Biada ci, jeźlibys sądził, że cię ich uprzejmość zaszczyca. Obyś jenerale! zrozumiał te słowa i uczucie, co je podktowało.»

Z POWODU POEZJI

LUDWIKA MIEROSŁAWSKIEGO.

Gdzie jesteś czarcie, szatanie!
Przybwyj przeklęty duchu!
Oto trzykrotne wezwanie
Puszczam do twojego słuchu.
Spiesz, wstępuj do mego łona,
O najplugawszy z plugawych!
O ty samych piekieł zmozo!
Klnę cię przez twoje imiona,
Klnę ciebie całą obrazą
Słów obelżywych, słów krwawych,

Spiesz! Ha! jesteś! Słuchaj czarcie!
 Potrzebne mi twoje wsparcie,
 Ta chwila czarna, przeklęta,
 Pamięć ja twoja pamięta,
 Kiedym na piekielnej karcie
 Stwierdził moją krwią serdeczną
 Zgodę między nami wieczną!
 Ta chwila przyszła na nowo.
 A więc jestem? Mów! znajdź słowo!
 Jestem tobą. Twoje czucie,
 Twoje żądze są moimi.
 Mojem natchnieniem zepsucie,
 Uczuciem niesmak ku ziemi,
 Tak wszystko ziemskie mnie nudzi,
 Chciałbym rozbudzić tych ludzi;
 Ale chorągiew ich wiary,
 To już gałgan taki stary,
 Ich cnoty takie powszednie,
 Ich miłości takie brednie,
 Że się nic z tego wszystkiego
 Niezda do zamiaru mego.
 Mnie potrzeba twego świata,
 Gdzie zacni bracia szatani
 Przez całej przeszłości lata
 Znosili sprosność stworzenia
 Jak do plugastwa otchłani.
 Tam będę szukał natchnienia,
 Tam zaczerpnę i pokażę
 Niewidziane dotąd rzeczy,
 Bryzną niemi ludziom w twarze,
 Aby się rodzaj człowieczy
 Czyścił z nich w czas najpoźniejszy.
 Jak z płam wypalonych trądem,
 Jak z krwi skażonej nierządem.
 Ludzkość do kości obnażę.
 I co jest najsromotniejsze,
 Tém będę oczy jej mazał,
 Aby się taką ujrzała,
 Jaką nikt jej niepokazał.
 A ziemia cała zawoła:
 Oto poeta, któremu
 Równego dotąd niebyło.
 Chwała i przekleństwo jemu!
 A ty czarcie całą siłą
 Całego piekła mię wspieraj,
 Bądź moją muzą! otwieraj!

Otworzył.

Wbiegłem poskokiem,
 Przemierzyłem otchłan okiem,
 I skamieniałem zdumiały;
 Włosy z trwogi się rozpięchły,
 Na drut się powypięzały,
 Oczy zastygły, zamierzchy,
 Stoja bez blasku i ruchu,
 A jak w oczach, tak i w duchu
 Przed najsprośniejszym widokiem
 Nienawiści ludzi rozlana
 W litość zbiegła łez potokiem,
 Duma padła na kolana;
 W zmysłach nie miałem dość siły,
 Aby się poczwara dotknęły;
 Władze duszy równie były
 Bezsilne, by je ujęły.
 Puszczaj mnie, puszczaj! krzyknąłem,
 Weź twój świat z przed mego oka,
 Choćby chór wiekowej sławy
 Miał nad moim wieszczem czołem
 Tak jasném zaświtać kołem,
 Jak twoja czarna pomroka.
 Precz swiecie sprośny, plugawy!
 Nie ja twe skarby posiędę,
 Nie ja korzystać z nich będę.
 I świętym znakiem zbawienia
 W znikome mary rozbilem
 Czarta i jego dziedzinę.
 Związki z piekłami zniszczyłem,
 Wznowiłem z ludzką rodziną.

Tyle wiała okropności
 Owa poezja sprośności.
 Może ich próbę mieć chęć?...
 To w Mierosławskim znajdziecie.

NOWINY.

—Polacy z ziem przez Moskwę zabranych obchodzili i tego roku w Paryżu dnia 25 marca pamiątkę powstania swego. Zaproszony par Francyi Villemain niewiedział czy 29 listopada lub 25 marca jest rocznicą powstania Polaków. Wytlumaczono, że kalendarz litewski tak się różni od polskiego, że kiedy w Polsce jest 29 listopada tedy w Litwie jest 25 marca. Dziwił się par, ale wierzył przez grzeczność. Podczas obiadu spełniono liczne toasty, jeden był: «Chociaż tu między nami niema Polaków, niech żyją Polacy!» Dziwił się par znowu, bo był pewny, że jest między Polakami, ale zmówił na wino. I to grzeczność!

—Pan Z. umieścił w *Młoděj-Polsce* artykuł, w którym ubolewa, że na balu wyprawionym w Paryżu przez *Towarzystwo dam polskich*, wiele się rzeczy odbyło z obrazą ogólnej żaloby narodu polskiego. Pan A. w odpowiedzi Panu Z. dowodzi, że mniejsza o obrazę, kiedy rzecz o pieniądze idzie. Nie prawdaż, że Pan A. rozumuje loicznie?

—Dotąd twierdzono, i bylibyśmy za to gardło nasze dali, że naczelnik Komisyi funduszów poseł Szaniecki staje w imieniu i z upoważnieniem emigracyi przeciw Grabowskiemu, Chońskiemu i spółce, w sprawie o Polskę malowniczą, aż tu gmina zjednoczonych Polaków w Paryżu, *Val-de-grace* zwana, ogłasza, że Szaniecki jest spółnikiem Grabowskiego, Chońskiego, i dalszych. No proszę! Komu tu wierzyć?...

—Dyplomacya nasza nowym cieszy się tryumfem. Książę Adam Czartoryski i carewicz moskiewski Aleksander, tegoż dnia, teje samej godziny, i na témże samém posiedzeniu na członków do najwybredniejszego (le plus fasionable) z arystokratycznych klubów angielskich przyjęci zostali. Mówią że książę udał się już do Londynu, aby też równocześnie z carewiczem po raz pierwszy na posiedzenie klubu być wprowadzonym. Co za honor dla księcia! Co za afront dla carewicza!

WSPOMNIENIA HISTORYCZNE.

—Kiedy jednemu żołnierzowi z pułku grenadyerów, po bitwie Ostrołęckiej dobywano z nogi kulę karabinową, znoślił tę operację najspokojniej, tylko mówił:—To mi przykro, że mnie taka pchła skaleczyła; nie żał dostać, ale od działowej kuli.

—Raz, podczas powstania, Leon Sapieha podał Skrzyneckiemu fidybusa do fajki. Skrzynecki począł żartować, że mu książę usługuje. Sapieha tłumaczył, że to bardzo naturalnie robią szlify porucznikowskie dla jeneralskich. Podobał się Skrzyneckiemu concept, zapalił fajkę, pomyślał, i uderzając po ramieniu Sapiehę, *jesteś kapitanem!* zawołał.

—Rydygier wkroczywszy do Krakowa stanął otoczony swoim sztabem wśród rynku, i nieziadając z konia zdjął z głowy kapelusze i przemówił do zgromadzonych: Niech będzie pochwalony Jezus-Chrystus! — Na wieki wieków Amen, odpowiedzieli. Rydygier po tym wstępie zawołał:—Mikołaj I, cesarz wszech-Rossyi niech żyje! ale ani jeden głos nie odezwał się na to. Rydygier włożył kapelusze, i zwracając konia, rzekł do adjutantów: Zapomniałem, że to Krakowiaczy!

Pszonka wychodzi dwa razy na miesiąc, to jest 1^o i 16^o każdego miesiąca zaczynając od 1^o maja 1839 roku.

Przedpłata na 12 numerów wynosi we Francyi franków 5, za granicą zł. pol. 12.

Zgłaszać się do wydawcy *franco*, pod adresem: M. Pszonka, Polonais, au café du Miroir, à Strasbourg (Bas-Rhin).